

— Łaskawco kochany i dobrodzieju! — objął go kapitan oburącz, — toć że chciałeś figla, żądałeś koniecznie, prosiłeś, a mnie inny nie nawinał się koncept.

— Bóg ci zapłać i za to — dziedzie w obadwa ucałował go policzki, że aż klasnęło — bo uśmiertelnisz mnie chyba swoim konceptem, gdy go wszędzie będą opowiadać. A jeszcze i gotów kto kiedy napisać.

Zapachy zimowe.

Miewa wiosna fiołki,
Lato w róże się mieni,
Nawet jesień przekwitła
Ma woń ostrą zieleni.
Tylko zima, biedaczka,
Gdy lód ziemię osłoni
Snieżnych kwiatów ma dosyć.
Lecz to kwiaty bez woni.
Nos jednakże wciąż kicha,
J wśród zimy pracuje,
Gdzie się ruszysz — wciąż wzdycha
Bo go katar całuje...

nix.

Przerwany interwiew z panną Broccard.

Interwiewy we Lwowie niedawno weszły w modę. Wprowadził je p. Antoni Chołoniewski, który po odbytej aplikacji w *Przeglądzie*, dostawszy się na samodzielne stanowisko w *Dzienniku Polskim* podniecały temperamentem dzielnego talentu dziennikarskiego, puścił się po werstepach naszego życia lwowskiego i... jeszcze karku nie skreślił... Ja zapuściłem się do saloniku pięknej kobiety, a to, podobno, tak niebezpieczne, jak wiadukty budowane przez wiedeńskich inżynierów na galicyjskich kolejach żelaznych.

— Czemu mam, właściwie, przypisać przyjemność widzenia pana u siebie — rozpoczęła rozmowę przedstawicielka tytułowej roli w *Nitouche* — wskazując życzliwym ruchem ręki na fotelik — proszę siadać i mówić bez ceremonji, co pan chce ode mnie — bo szyję dam, że pan dla pięknych moich oczów nie przychodzi...

— Przyjemność po mojej stronie — wyrwał mi się banalny frazes, odgrywający na bruku lwowskim nie fortuną rolę podręcznego dowcipu — a co do szyi, którą pani z taką wspaniałomyślnością ofiaruje na zakład — to, doprawdy, z powodu, właśnie, oczów pani, mógłbym zakład wygrać i coby wtedy było?...

— A! — zachnęła się rozkosznie artystka — dziennikarzom tak łatwo mówić komplementa, jak pisać impertynencje!...

— Pani ma żal do dziennikarzy...

— Ma się rozumieć — proszę pana taki *Humorysta*...

— Aha!...

— Co „aha“?...

— Właśnie...

— Co właśnie?...

— Właśnie, chciałem panią zapytać, czy pani wie dlaczego *Humorysta* tak się panią gorączkowo zajmuje?...

— Gdzie on się tem zajmuje — napada mnie!.. I to w sposób, doprawdy, nie bardzo rycerski...

— Różnemi drogami chodzą namiętności ludzkie...

— Ale — proszę pana — przerwała mi żywo interlokutorka, nie zważając na moją sentencję, — ale proszę pana — niech tam sobie namiętności chodzą, gdzie chcą — jednak zaglądać do mieszkanka przez dziurkę od klucza, drukować koncepta z kawiarnianej humorystyki, robić sobie reklamę kosztem krzywdy cudzej — to nie jest krytyka artystki, aktorki, czy operetkówni — jak pan chce — ani mojego grania, ani śpiewania. ani fikania, tylko znęcanie się nad kobietą bezbronną, która, nietylko pistoletu, ale nawet kija do ręki wzięść nie może... Proszę pana, mówią, że jestem ładna...

— Bardzo mówią...

— I że się dobrze ubieram...

— Tak.

— Proszę pana, czy moralność *Humorysty* zyskałaby na tem, gdybym była brzydka i chodziła w wydeptanych trzewikach?.. A zaręczam panu, gdybym miała nos haczykowaty, albo zadarty — jak pan chce...

— Wolę zadarty...

— No więc, gdybym miała nos zadarty, twarz podziobaną przez ospę, oczy zaczerwione, toaletę kupcowy lwowskiej, a grała i śpiewała, jak anioł, żywiła się tylko mlekiem z lanami klusieczkami i jajecznicą z niewinnym szczypiorkiem — to, czyby wówczas *Humorysta* równie uwielbiał mój talent i moje cnoty, jak dziś drapie mój spokój, szarpie moją toaletę i nazwisko, zmyśla sytuacje — jednym słowem, oprawia mnie w ramy skandalu dlatego tylko, aby więcej sprzedać numerów *Humorysty*!.. Czy to rycerskie?.. A jak to łatwo, proszę pana, być humorystą cudzym kosztem i na cudzej krzywdzie...

— A mnie się zdaje, że w tem jest coś...

— Coś? cóż to może być?..

— Miłość...

— Miłość? jaka? do kogo? za co? po co? dlaczego?

— Czytała pani *Historję teatru* Estreichera?

— Nie czytałam...

— A zna pani Aszpergerową?..

— Ze słyszenia — wiem, była znakomitą artystką...

— Estreicher w tej swojej *Historji* skandalicznie poumieszczał rzeczy o Aszpergerowej — wie pani dlaczego?..

— Ale nie wiem! zkadże bym miała wiedzieć?..

— Kochał się w niej... bez wzajemności...

— Co!? Więc pan sądzisz, że redaktor „*Humorysty*“...

— Jestem tego pewny...

— A Aszpergerowa co zrobiła z Estreicherem...

— Zakochała się... w Rodakowskim...

— Proszę pani — odezwała się pokojówka we drzwiach — pan profesor Słomkowski przyszedł na repetycję.

— Proś, proś pana profesora!...

Teatr.

Nie wiele, co prawda, mamy miejsca w *Kurjerku* — ale wiadomo, gdy się „drzwi i serce otworzy“, jest przestronniej i nawet cieplej... Otwieramy więc drzwi i serce w *Kurjerku* dla recenzji teatralnych, a otwieramy dlatego, aby sprawozdania teatralne mogły być zamieszczane prędzej, jak to być może, gdy tylko dotąd w *Gońcu* i *Iskrze* były drukowane.

Odtąd, więc, recenzje teatralne umieszczane będą naprzemian w *Gońcu* i *Iskrze*, oraz w *Wesołym Kurjerku* stosownie do tego, jakie sztuki, czy przedstawienia wypadną do oceny w terminach naznaczonych do wychodzenia pism naszych. Zaczynamy tedy od *Popychadła*, komedji p. Szutkiewicza. Grano ją u nas po raz pierwszy w tych dniach. Rzecz istotnie napisana z talentem, choć napisana nie równo i przy użyciu pewnej części spłowiałego, lub przegniłego materiału scenicznego w postaci szlachetnych baronów i wyrozumiałych hrabin. Mimo to od *Popychadła* wieje świeżość. Rysunek postaci w niej, tych postaci, które autor obserwował prosto z życia, silny, chociaż szkicowany grubymi kreskami, kleksami — jak humorystyczna ilustracja, gdzie nieraz z jednej linii wygląda satyra, lub karykatura uczuć ludzkich...

Pierwszy akt w *Popychadle* w swoim rodzaju jest pysznym obrazkiem pochwyconym z natury — to samo trzeci — jednym słowem, to, co wychodzi ze sfer nie obwinionych formami towarzyskimi. Winnych sferach, autor *Popychadła* potyka się, widocznie słabo mu jest i jest skłonny do... melodramatyzowania...

Akt 4ty słaby nadwyrzaz i nie pomyślowy, akt 5ty banalny — coś w rodzaju końca dla wszystkiego...

Wartość literacka i artystyczna *Popychadła* pozostaje dosyć daleko za jej scenicznym powodzeniem, które w Warszawie było niezwykle dlatego, że bohaterem sztuki jest akademik, a akademik w Warszawie, to nie jest fabrykant ulicznych „gąsiorów“, jak u nas, lecz młody obywatel, co zajmuje już w życiu stanowisko, a z niego sięga wzrokiem daleko i idzie naprzód nieraz głodny, połyka łyż, ale zawsze szlachetny, przyjaciel słabych i poniewieranych...

Grano u nas *Popychadło* świetnie — co się zowie. Najwięcej kłopotu miał p. Ruskowski. Stróż, którego grał, — to zlokalizowana kopja intrologatora z sudermanowskiego *Honoru* — jednak, utalentowany i pomyślowy artysta dał sobie radę i grał zupełnie oryginalnie, utrzymując ton jeden od początku do końca — ton swojski, uderzający naturalnością i psychologicznym pogłębieniem. Ze stanowiska artystycznego, właściwym bohaterem *Popychadła* był p. Żelazowski, chociaż grał tylko w dwóch aktach i nie główną postać Ignaca. Artysta odtworzył typ w takich subtelnych formach scenicznej masty, — że tylko głęboko intuicyjny aktor potrafi tak sięgnąć do dna sztuki...

Przyjemnie byliśmy zdumieni pełną energią, temperamentu i wyrazu grą p. Bednarzewskiej w roli Mańki. Pani Bedna-

Wesoły.